

Od autora: wspomnienie

(...)

Kiedy skończyła się możliwość dodatkowego zarobku na tłoczni, rozglądałem się za nową pracą. Pomógł kolega z zakładu, z którym zgadało mi się przy zegarze odbijającym kartę pracy.

– Co? Nie chodzisz już na tłocznię? – Kazik włożył swoją kartę i pociągnął za dźwignię.

– Przestałem tam łązić. Z różnych powodów. Może i dobrze, zdrowszy będę. – Machnąłem lekceważąco ręką.

– Tak ci się poprawiło? W totka wygrałeś? To pożycz mi z tysiąka. W potrzebie jestem. – Zaśmiał się i wyciągnął rękę.

– Odwal się. Pożyczyć to ci mogę i to bez zwrotu. – Skrzywiłem się i potrząsałem mu pięścią przed nosem. – Sam mi pożycz. Też potrzebuję forsy.

– Dobra, dobra – Pomachał dłońmi i odruchowo odsunął się w tył. – Nie bądź taki wyrywny. Ale u mnie w domu mieszka taki jeden. Nigdzie na stałe nie pracuje, ale gdzieś łązi i zarabia na flaszkę. Zagadnę go, to może i dla nas coś będzie.

– To i tak gadaj od razu, a nie pieprz jak potłuczony. Jakby co, daj znać.

* * *

Już następnego dnia przyniósł wiadomość.

– Rozmawiałem z tym moim sąsiadem i...

– No i co? – Wszedłem mu w słowo. – Jest robota? Jaka?

– Coś taki w gorącej wodzie kąpany? Daj fajkę.

Wyciągnąłem papierosy. Zapalił i zaciągnął się głęboko.

– Coś jest. Jak on potrzebuje trochę forsy, to chodzi do STW. To taka Spółdzielnia Transportu Wiejskiego, Rozwożą węgiel, cement i takie tam po jakichś geesach.

– Gminnych spółdzielniach – dorzuciłem.

– No właśnie. Jak jest robota, to podobno każdego biorą, kto chętny i przyjdzie. Żadnych badań i tym podobne. Nie dają ubrań roboczych, trzeba mieć swoje stare ciuchy. Od razu do roboty i, co najlepsze, ile zrobisz, tyle wypłacają od razu do rączki. Ta praca jest na Rapackiego, zaraz za mleczarnią, więc mamy rzut kamieniem od roboty. Można tam zaglądać codziennie. Raz robota jest, raz nie ma. To co?

– W powszednie dni? – Pokręciłem głową. – Myślałem o wolnych sobotach czy niedzielach.

– Ale to nie tylko rano. Jasne, przecież pracujemy. Po południu też zbierają tam ekipy do roboty.

– O której? Robię do piętnastej.

Westchnął i podrapał się po głowie.

– No właśnie. Ten mój znajomek mówił, że na popołudnie to trzeba być o w pół do trzeciej, najpóźniej za kwadrans. Dyspozytor czeka i gdzie trzeba, to chętnych na samochód i wiozą do pracy. Ja mam na szóstą, więc żaden problem. Spróbuj, może ci szef pozwoli na wcześniejsze godziny.

– Kurde, korci mnie, forsa do ręki i idziesz robić, kiedy chcesz. Dobra, jutro się spytam mego szefa.

* * *

Kierownik działu zaopatrzenia, w którym pracowałem, był ludzkim przełożonym. Nie stwarzał żadnych trudności – od razu zgodził się na moje wcześniejsze przychodzenie i wychodzenie z pracy. Dobry szef to jest skarb!

Kiedy tylko uzyskałem zgodę, wyrwałem się w przerwie śniadaniowej do działu pracy Kazika.

– Mam zgodę Kochańskiego. – Przywitałem się z nim. – To co, od jutra spróbujemy?

– Dobra. To jutro bierz wałówkę, zamiast obiadu. Nie zapomnij o ciuchach do roboty. Idziemy tam w ciemno.

Następnego dnia odbiłem kartę pracy już przed szóstą rano. Po czternastej, wraz z Kazikiem, udałem się do STW. Do parterowego budyneczku weszliśmy po kwadransie marszu. Wewnątrz, na ławeczkach siedziało pięciu jegomości; prawie wszyscy drobni z wyglądu i niezbyt zdrowi na twarzyczkach. Tylko jeden był większej postury. „Takie chuchra tu przychodzą do roboty? Do tego wyglądają na takich, co są często zmęczeni życiem. To i nam łatwo będzie, nie przemęczymy się” – przebiegło mi przez głowę.

– Cześć, panowie – zagadnąłem zdecydowanym tonem. – My do szefa, znaczy dyspozytora.

– Nowi? – odezwał się najbliższy z siedzących. – A panowie to na wojnie wyginęli – zarechotał przy wtórce pozostających. Zlustrował nas wzrokiem. – Do szefa? Tam, w kanciapie – wskazał głową w głąb pomieszczenia.

– Dzięki. – Zrobiłem krok między dwoma rzędami siedzących. Rozmówca przytrzymał mnie za rękaw i już proszącym głosem dokończył:

– Macie może fajki, bo nam się skończyły.

Nie paliłem dużo, ale zawsze paczkę nosiłem przy sobie. To wyglądało na bardzo tanie wkupne, jeżeli mieliśmy z nimi pracować. Wyjąłem papierosy „Atut”.

– Jakieś mam. Częstujcie się.

Pięć rąk od razu wyciągnęło się w moją stronę. Najbliżej siedzący spojrział i lekko się skrzywił.

– Nie macie normalnych? Sporty czy klubowe. Na takie to szkoda forsy, nic nie czuć.

W pierwszej chwili chciałem złośliwie skomentować, że sportów już nie ma, tylko „Popularne”, ale się powstrzymałem. W końcu nie można wchodzić w zwady słowne na samym początku wspólnej pracy.

– Darowanemu koniowi w zęby się nie patrzy. Ale jak nie chcecie... – Przymrużyłem oko i cofnąłem rękę wyciągniętą stronę marudy. – Nie zmuszam. Będę mniej stratny.

Pozostali zarechotali.

– On nie musi, my chętnie. Na bezrybiu i atut ryba – filozoficznie stwierdził jeden z nich. Był najdrobniejszy. Na ulicy nie pomyślałbym, że może pracować przy rozładunkach. – Tadeusz. Mów mi Tadzio. – Wyciągnął do mnie rękę.

Uścisnąłem mu dłoń i podałem paczkę atutów. Wyjął papierosa i poczęstował trójkę.

– Te, a ja? – Maruda głośno zaprotestował i wyciągnął rękę.

– Nie chciałeś. Lepsze wolisz. – Tadzio się zaśmiał i oddał mi pudełko.

– Jak cię pierdolnę... – Zamachnął się, ale drobny Tadzio był szybki. Zdążył odskoczyć w głąb korytarzyka.

– Dobra, fajek starczy. – Wyciągnąłem papierosy w stronę marudy. – Zdzisiek jestem.

Jak się zaczęło, tak szybko uspokoiło. Przywitaliśmy się po kolei z całą piątką, przedstawiając z imienia.

cdn.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Zdzisław, dodano 09.03.2021 12:14

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.